



## Mirosław Derecki (M.D.)

### EKRAN I WIDZ: CHŁOP JAK DĄB

Arnold Schwarzenegger nie posiada wprawdzie zdolności aktorskich, ale ma za to największe na świecie bicepsy. I w ogóle - muskulaturę przekraczającą daleko najśmielsze wyobrażenia o tym, do czego mogą doprowadzić ćwiczenia kulturystyczne.

U jednych jego nieprawdopodobna, do granic wynaturzenia rozrośnięta sylwetka budzi odrazę, u innych śmiech, jeszcze inni patrzą w niemym urzeczeniu na to monstrualne skrzyżowanie Wyrwidęba z Waligorą. I własne z myślą o tych ostatnich czterdziestojednoletni Austriak z Grazu, dopiero od kilku lat posiadający obywatelstwo amerykańskie, prezentuje swe cielesne walory na ekranie filmowym.

Niedawno oglądaliśmy go, jako przerażającego cyborga w „Elektronicznym mordercy”, następnie w roli szlachetnego, lecz gdy trzeba, pozbawionego skrupułów agenta FBI w filmie „Jak to się robi w Chicago”, obecnie przyszła kolej na „Commando”, sensacyjną, niezwykle kasową w wielu krajach, opowieść amerykańskiego reżysera Marka L. Lestera o byłym komandosie usiłującym odbić swą córkę z rąk porywaczy.

Podobnie jak w większości filmów z udziałem „niesamowitego Arnolda”, bohater „Commando”, John Matrix, jest czymś w rodzaju mitycznego greckiego Tytana, wymierzającego sprawiedliwość. W czym służy mu pomocą cały arsenał najnowocześniejszej broni palnej oraz siecznej, używanej przez oddziały wojsk specjalnych, tajnych agentów posiadających rządową licencję na zabijanie przeciwników „słusznej sprawy”, a także gangsterów.

W filmach Schwarzeneggera role kobiece są zepchnięte zdecydowanie na dalszy plan. Jeżeli nawet partnerka towarzyszy bohaterowi na ekranie przez znaczną część filmu, to nie stawia się nacisku na seks. Ma ona być wspaniałym, atrakcyjnym i wiernym kumplem rodzaju żeńskiego, z którym idol pójdzie, prawdopodobnie, do łóżka, ale dopiero później, po wypełnieniu swej niesłychanie ważnej misji, po tym, jak na ekranie zamigocze napis „The end”, a na widowni zapłoną światła...

Naczelną, bowiem zasadą tych filmów jest prezentacja mocarnej sylwetki gwiazdora, jego sprawności fizycznej oraz umiejętności wystrzelowania możliwie największej ilości

amunicji w możliwie najkrótszym czasie. To nie finezyjny w sposobie prowadzenia walki, osiągnącej wymiar czystej sztuki, drobny, nieprawdopodobnie zręczny Bruce Lee. To brutalny, umięśniony prostak, ukrywający się pod szatą „anioła sprawiedliwości”, walący na odlew kłonicą, która ma kształt ziejącego ogniem karabinu maszynowego. Góra mięśni, wyzwalająca, co pewien czas nagłą erupcję. Może filmy z udziałem Schwarzeneggera nie są aż tak zupełnie pozbawione pierwiastka seksualizmu?

Dla jednych pęd do kulturystyki jest czymś odrażającym, dla innych czymś wspaniałym. Dla piętnastoletniego Austriaka był to kiedyś jeden z głównych celów życiowych. Dopiero później uświadomił on sobie, że osiągnąwszy taki właśnie cel, można go zdyskontować dla uzyskania dalszych, o wiele zyskowniejszych.

Kiedy Arnold Schwarzenegger miał lat dwadzieścia (w 1967 r.), zdobył po raz pierwszy tytuł „Mister Universa”. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych i zamieszkał w Los Angeles. Zdobywał kolejne główne nagrody. Pięciokrotnie był „Mr. Universe”. Zdobył tytuł „Mr. World”. Aż siedem razy sięgnął po laur „Mr. Olympia”, który to tytuł jest najwyżej ceniony w sporcie kulturystycznym. Nie ograniczał się tylko do samego trenowania i udziału w konkursach. Został propagatorem kulturystyki, trenerem, napisał trzy podręczniki dla kulturystów, nakręcił instruktażowy film video.

Przy tym wszystkim wbrew powszechnemu przekonaniu, że „kto ma w mięśniach, ten nie ma w głowie, skończył uniwersyteckie studia ekonomiczne, wszedł w środowisko poważnego businessu. Dziś jest liczącym się amerykańskim przedsiębiorcą, żonatym z jedną z przedstawicielek rodziny Kennedych...

Do filmy trafił Arnold Schwarzenegger w roku 1973, mając lat dwadzieścia sześć, a w kieszeni klika już tytułów mistrzowskich z dziedziny kulturystyki. Zadebiutował w „The Long Goodbye”, który oglądaliśmy jakiś czas temu w telewizji pod wiernie przetłumaczonym tytułem – „Długie pożegnanie”. Do 1986 r. nakręcił jedenaście następnych filmów. Na ekrany polskich kin trafiły trzy. Ostatnio zaproponowano mu główną rolę w amerykańskim filmie „Red Heat” („Czerwony upał”) o międzynarodowej aferze dotyczącej handlu i przemytu narkotyków, w którym część akcji dzieje się w autentycznych moskiewskich plenerach. Jako że fabuła dotyczy m.in. współpracy radzieckich i amerykańskich policyjnych ekip do walki z handlarzami narkotyków?

Co się zaś tyczy samego filmu „Commando”, w którym, niepokonany John Matrix walczy z całą kompanią uzbrojonych po zęby żołnierzy, to jest to i jedna z tych prymitywnych, choć pełnych dynamizmu i z wartko toczącą się akcją, historyjek ekranowych, kręconych przez dobrych rzemieślników-fachmanów na zasadzie: „zabili go i uciekł”. Nie

wykracza jednak (nawet w obrębie swojego gatunku) poza poziom przeciętnego „komiksu”, tu i ówdzie rozjaśnionego racą niezłego humoru.

Daje się to oglądać dla swoistego relaksu. A trochę i dla nie zamieszanej przez reżysera, złośliwej zabawy. Ponieważ chwilami „niesamowite” sytuacje nabierają wręcz groteskowego wymiaru. Aliści pewien smutek ogarnia zarazem człowieka, że - jak ktoś niedawno słusznie, zauważył - znów wydano pieniądze na zakup właśnie takiego, a nie bardziej wartościowego filmu.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 14, s. 12-13.